Nr. 1. Kraków, Czwartek 5 Stycznia 1899. Rocznik VIII.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sławkowska l. 30, I piętro.

Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi, **ul. Sławkowska l. 30.**

Rękopisów nie zwraca się. Korespondencyj anonimowych nie uwzględnia się. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Pl. Maryacki l. 2, we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ul. Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ulica Kilińskiego l. 2, w Tarnowie w biurze p. M. Rokacha.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W Krakowie: (bez odsyłki) rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień — w czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

„Naprzód"

wychodzi w Krakowie w każdy czwartek.

Prenumerata wynosi:

W Austryi:		W Krakowie:	
Rocznie . .	zł. 3·60	Rocznie . .	zł. 3·—
Półrocznie .	„ 1·80	Półrocznie .	„ 1·50
Kwartalnie .	„ —·90	Kwartalnie .	„ —·75
Miesięcznie .	„ —·30	Miesięcznie .	„ —·25
W Niemczech:		**We Francyi:**	
Rocznie . .	7 marek	Rocznie .	10 franków

Pojedynczy numer kosztuje 7 ct.

Dla organizacyj robotniczych, biorących co najmniej 10 egzemplarzy, zniżona cena pozostaje niezmieniona. Mniej niż 10 egzemplarzy wysyłamy tylko po otrzymaniu z góry pełnej prenumeraty. Zamówienia należy natychmiast uskutecznić. Na przekazach, przysyłanych na adres „Naprzodu", należy wyraźnie uwydatnić, na co pieniądze są przeznaczone.

Redakcya i Administracya.

PRZEGLĄD.

Ósmy rok zaczyna „Naprzód" z numerem dzisiejszym. Siedm lat walki, lat borykania się z kliką rządzącą w Galicyi, siedm lat niesienia oświaty w szeregi robotnicze, bronienia najuboższych od gwałtów, przemocy, krzywd i zdzierstwa. Ten przeciąg czasu, który dla innych szybko może przeminąć, dla nas był długim i ciężkim, tak ciężkim, jak życie robotnika. Na wołowej skórze nie spisałby konfiskat i procesów, któreśmy przebyli. A jednak stoimy dziś przed naszymi czytelnikami tak samo nieugięci, tak samo chętni do pracy, jak przed siedmiu laty. Kiedy prokurator skonfiskował ubiegłej zimy jeden numer naszego pisma trzy razy z rzędu, wydaliśmy czwarty nakład na czerwonym papierze, w dowód tryumfu naszej wolnej myśli nad ołówkiem cenzora... Bywały już czasy, że nam całą redakcyę i administracyę zamykano do kozy, a jednak „Naprzód" wychodził bez przerwy, bo znalazł zawsze pomoc gotową w szeregach robotniczych. Wkrótce znów zbiorą się redaktorzy „Naprzodu" w więzieniu, ale robotnicy znów okażą, że sprawie upaść nie dadzą i za każdego zamkniętego redaktora powinna przybyć bodaj setka nowych abonentów!

Stan wyjątkowy wypędził nasze pismo z Krakowa na pół roku blisko. W ponurej ciszy cmentarnej, przerywanej tylko pogwizdem puszczyków jezuickich i radośnem naszczekiwaniem stańczykowskich hyen, schowano „Naprzód" za pazuchę robotniczą bezpiecznie... Kolportowano go mistrzowsko, z dobrym humorem, wiedząc, że kontrabanda to miła i droga! Zachodził więc dalej „Naprzód" do pracowni rzemieślniczych, do fabryk i na wieś do chałup włościańskich, czytany skwapliwie, jako dobry, stary przyjaciel.

Stan wyjątkowy runął w sromocie, a „Naprzód" tryumfalnie wrócił do domu, zwiększony i silniejszy jeszcze niż przedtem i dzisiaj oto wkraczamy w ósmy rok życia... Całej partyi robotniczej ten organ jej własny pod opiekę też dziś oddajemy; od Towarzyszy i Towarzyszek zależy jego rozwój. Wspierajmy i rozszerzajmy go wszyscy, a może wkrótce uda się zamienić tygodnik na pismo codzienne.

Ale przedtem powinien być zniesiony ohydny podatek na oświatę: stempel dziennikarski i przełamane ograniczenia kolportaży i dziwaczna cenzura. To najbliższa praca i w tej pracy „Naprzód" nie będzie z pewnością ostatni.

Konferencya całej partyi socyalno-demokratycznej Galicyi i Śląska polskiego, zwołana przez posłów towarzyszy Kozakiewicza i Daszyńskiego, zbiera się jutro w murach Krakowa. Upływa półtora roku niemal od ostatniego zjazdu we Lwowie, a czas ten minął na niezmordowanej pracy agitacyjnej i organizacyjnej wśród ludu pracującego w mieście i na wsi. Z pracy tej obliczyć się, nowe jej dalsze drogi nakreślić, uczynić ją planową i świadomą, to główne zadanie konferencyi. Straty z prześladowań ostatnich wynikłe przejrzeć i zagładzić, to druga jej część. Ale najważniejszem chyba będzie stworzenie nowych, ważnych form organizacyjnych i dyskusya nad taktyką całej partyi. Jedno i drugie jest najbardziej na czasie; „Koniec wieku" musi nas zastać lepiej uzbrojonych niż dawniej... Ponieważ konferencya będzie miała charakter ściśle poufny, przeto wstrzymujemy się od szczegółowego roztrząsania porządku dziennego konferencyi.

Ale to jedno nie może ulegać dla nikogo wątpliwości, że w pośród chaosu częściowej perfidyi i braku programów jasnych u t. zw. „opozycyi ludowej", ma partya socyalno-demokratyczna pierwszorzędne zadanie: wskazywać drogę, krzepić moralność i charaktery polityczne i być zwartą, solidarną organizacyą wzorową dla innych. Konferencya też nie zawiedzie oczekiwań, jakie w niej partya pokłada.

Liczniej, niż dawniej będą w niej zastąpione organizacye Śląska. Te postępy, jakie tam od dwóch lat zrobiono, napawają nas wszystkich dumą i radością. Towarzysze ślązcy znajdą też otwarte serca i ramiona na przywitanie. Witamy także już dzisiaj serdecznie wszystkich towarzyszy i towarzyszki, którzy do nas jutro zawitają. Organizacya krakowska postara się też o to, aby gości swoich godnie przyjąć.

Położenie polityczne Austro-Węgier staje się coraz cięższem i smutniejszem. Zaufany w swoje wpływy u dworu feudalizm nie chce ustąpić, a naprzeciw niego stoi w Austryi bezsilny, rozbity na „narodowe" kluby parlament klasowy. Ani wstecz, ani wprzód kroku zrobić nie można, aby wyjść z tego paraliżu politycznego. Tylko wielkie reformy postępowe, to znaczy zwycięstwo demokracyi mogłoby tę maszynę państwową w ruch puścić, ale szlachta i klerykali opanowawszy „narodowe" stronnictwa, ani nie myślą o czemś podobnem, bojąc się bardziej lekarstwa, niż choroby. Oba czynniki: rząd i parlament ratują się fałszem i obłudą, t. j. § 14 konstytucyi. Posyła się posłów na święta, aby rządzić despotycznie, a trzyma się posłów w parlamencie, chociaż każdy wie, że ten parlament nie może niczego zdziałać dla uratowania państwa od rozkładu. Nie może i nie będzie mógł tego zrobić tak długo, jak długo kliki feudalno-klerykalne w nim rej wodzić będą.

Absolutyzm, jak zaraza, przeszedł też z dniem Nowego Roku i do Węgier. I tam rząd pobierać zaczyna podatki bez pozwolenia parlamentu, i tam sfery rządzące przestały się liczyć z ustawą, z konstytucyą. To też w Węgrzech kipi teraz jak w kotle. Co z tych ataków na swobody parlamentarne wyniknie, tego nikt przewidzieć nie jest w stanie, ale, że ta próba sił między parlamentami a absolutyzmem musi się skończyć klęską absolutyzmu, to u schyłku wieku XIX nie ulega wątpliwości. Gdyby tylko w tem zamięszaniu lud nie stracił świadomości swoich sił i swoich praw, to miejmy nadzieję, że z zamętu wyjdzie ludowa organizacya silniejszą jeszcze, niż była przedtem. Ale dlatego właśnie trzeba niezmordowanie pracować nad uświadomieniem politycznem ludu i tem się kierować, jak gwiazdą przewodnią w przesileniu, wstrząsającem Austryą.

Syrenie tony znalazł poseł dr. Romanowicz, aby tylko opozycyjnych posłów polskich ściągnąć w Wiedniu do „Koła polskiego". Opozycya polska po za Kołem, to wieczna trwoga stańczyków; opozycya zaś wewnątrz Koła, to stara i wielce smutna komedya, w której honor swój polityczny stracili posłowie tacy, jak Sokołowski, Dulemba, Piętak i jak się jeszcze ta wzgardliwa rzesza nazywa. Za mało hańby i kompromitacyi „demokratom"; chcieliby jeszcze, aby tej samej hańby napili się i ludowcy i stojałowczyki i dwaj krętacze, Szponder z Danielakiem.

I cóż zrobić zobowiązuje się zato większość stańczykowska? Może obiecuje szereg reform, ustępstw dla ludu, usunięcia krzywd najbardziej bolesnych? Gdzież tam! Tym panom się wydaje, że do tego potrzeba tylko zmienić statut „Koła". I nic więcej? Nic. Rutowscy, Lewiccy potrzebują trochę większego znaczenia w Kole, więc Stapińscy, Winkowscy i Danielaki mają łamać słowo dane tysiącom wyborców i włazić do Koła, gdzie im Abrahamowicz, ten eunuch ormiański będzie łaskawie hetmanił!

Niechaj tylko ludowcy i stojałowczyki ten krok zrobią, niechaj zdrową głowę pod ewangelię Abrahamowiczów włożą, a wnet ujrzą dalsze skutki w Wiedniu i kraju... Rozumiemy, że zgniłki polityczne chcą w żyły swoje wlać trochę świeższej krwi ludowej, ale nie widzimy dla ludu potrzeby tego przelewania. Jeżeli opozycya zamiast lać nowe wino w stare dziurawe miechy, sama się zorganizuje w kraju jako wielka partya reformy, to przepędzimy wnet Abrahamowiczów z większości i z areny politycznej.

Nie w tył, ale naprzód drogi nasze wiodą i o tem słabi politycy z „Słowa Polskiego" będą mieli sposobność jeszcze nie raz się przekonać. Żadne zaś świstki statutowe tego ruchu nie cofną.

OPIEKUN.

Szkic.

Paweł Zdziebło, chuderlawy rybak z przedmieścia, począł w ostatnich latach życia objawiać szczególną pasyę. Skoro tylko ktoś spojrzał, choćby bezmyślnie, w jego stronę, brał to natychmiast za aluzyę do swego czerwonego nosa i odzywał się czemprędzej:

— To z wódki, z wódki, kochany panie, jak pana szanuję. Ludzie się wypirajom takich rzeczy — prowda?... Jo nie. Jo łgać nie lubie. Powiem komu, że to od słońca, od mrozu, abo ta jak, a ten mi i tak nie uwierzy. Wole powiedzieć od razu: „z gorzoły" i po krzyku. Czy to jo jeden, prosze pana? Ino trza wiedzieć, jak ze mnom było. Jo bez pińdziesiąt lot żywota nie wzionem w gębe ani kropelki, nie wiedziołem, rzyc mogę, jak trunek pachnie i w szynkuś mnie bracie nie uźroł. Jaż mnie dopiro nad grobem hyciło i zaroz mi w nos wlazlo. Tak. Co kogo mo spotkać, to go nie minie!... Mój ojciec nieboszczyk pił za trzech, dziadek sie tyż to samo na smierć zaloł, musiało przyjść i na mnie, chociożem sie pokusie oganioł do siwego włosa. Ale to wszystko bez ten sąd.

W taki sposób przyzwyczaił się rozpoczynać historyę swego czerwonego nosa. Nie mając o sobie nic większej uwagi godnego do powiedzenia, głosił ją z lubością na wszystkie strony, nie bez skrytego zamiaru poprawienia w ten sposób swej opinii.

Paweł Zdziebło był w rzeczy samej synem Mateusza, słynnego pijaka, o którym ludzie dowcipni mówili, że gdyby dużo złego tej okolicy czyniące stawy malaryczne napełnione były alkoholem nie wodą, osuszyłby je sam jeden od dawna. Pijaństwo i pijackie nosy przechodziły w tym rodzie z ojca na syna i otoczyły dom Zdziebłów tak smutną sławą, że dla małego Pawła, prześladowanego w gronie rówieśników dziadowskim i ojcowskim nosem, w dzieciństwie już stała się źródłem ciągłej obawy i wstrętu myśl, że w środku jego twarzy mogłoby kiedykolwiek zakwitnąć coś tak ohydnego, jak owa głośna w pamięci ludzkiej czerwona i obrzmiała trąba, którą najbliżsi przodkowie jego pogrążyli rodzinę jego w hańbie i niedostatku. Dzięki temu zapewne, a także i w braku środków wytrwał w wstrzemięźliwości do późnego wieku, nienawidzony przez szynkarza i tegoż klientelę, a podawany za przykład przez małżonki opojów oraz przez księdza.

Aż oto dnia pewnego spotyka Zdziebłę rzecz niespodziana. Na mocy wskazania testamentalnego wyznaczonym zostaje przez sąd na opiekuna nad małoletnim Klemensem Cichoniem, sierotą również po rybaku, lecz strasznym, mimo dwudziestu dwu lat zaledwie drabem i hultajem.

Zaszczycony godnością tak wysoką Zdziebło urżnął się po raz pierwszy w życiu pod demoralizującym wpływem swego rozpustnego pupila, który, z zręcznością rutynowanego pijaka potrafił starego uwikłać w zdradliwe słówko: „trzeba przecie oblać". W mocno nietrzeźwym stanie udali się obaj do banku w mieście, gdzie Zdziebło złożył „na procent" deponowaną chwilowo u proboszcza ojcowiznę Klemensa, ośmset reńskich gotówką, owoc długoletniej oszczędności zmarłego. Przy tym poważnym akcie wyglosił do małoletniego Cichonia w obecności urzędników banku następującą zastosowaną do chwili przemowę, która streszczała zarazem ideę przewodnią i program jego opiekuństwa:

— Żebyś se wiedzioł Klimek, że ci z tych ośmi stówek centka ruszyć nie wolno — przezemnie. Rozumisz?... Bo jo jest twój opiekun sądowy! pamiętaj se to. Jak dońdziesz do pełnolitniości, za dwa roki, wtenczos se śnimi rób, co kcesz. Do tego czasu mosz słuchać opiekona. Jak ze mnom przydzie wielemożni panowie, to mu dać — jak przezymnie nie dawać ani grosika Prosze pokornie, żnby tak stało zapisane. Teroz chodź... Kłaniomy sie pieknie...

Całe sąsiedztwo Zdziebły, wszyscy przyjaciele i wrogowie, dowiedzieli się oczywiście natychmiast o dygnitarstwie Pawła, który zapewniał, że tak wzorowego opiekuna, jakim on będzie, jeszcze nie widziano dotąd i że teraz dopiero, pod jego dzielną ręką, ma Klimek szanse wyjść na ludzi. „Już mnie podchodził... próbowoł... a jakże... czyby się nie dało do groszy dobrać. Ale jo: nie! Cencika nie dom ruszyć. Od tegom opiekon sądowy! Potrzeba ci na co — zarób. Ja nie dom krwawicy ojca marnić. I chłopok sie widzicie, tym sposobem ustatkuje, a za dwa roki, jak bedzie mioł swoje lata i pozno, co grosz znaczy — osiem stówek bedom, jak naloz".

Tymczasem Klimek, spróbowawszy wielu sposobów: próśb, gróźb, forteli — wyprawił w końcu zniecierpliwiony twardemu opiekunowi brzydką awanturę i nabesztawszy go bez najmniejszego na wiek i urząd względu, usunął mu się z wszelkiemi efektami śmiertelnej obrazy całkowicie z oczu. Paweł jednak śmiał się, pewien swej metody. Wróci on! wróci — prędzej później — skruszony, na znak budzącego się rozumu i radykalnej poprawy,

Ale Klimek nie wracał. Doszło natomiast uszu Zdziebły w krótkim czasie, że pupil hula siarczyście w towarzystwie okolicznych łobuzów i zaprzyjaźnionych z nimi dam lekkiego życia z tej i z tamtej strony rogatki.

Hula?... Za co?!... Zaniepokojony Paweł pobiegł do banku dowiedzieć się, czy

5 milionów ludzi, nie umiejących czytać, ani pisać, 500 szkół zamkniętych, 1160 nauczycieli ludowych bez kwalifikacyi, 2000 szkół w chałupach nędznych się mieszczących, 400.000 dzieci w wieku szkolnym, które do szkoły nie chodzą, na 100 ukaranych przestępców w Galicyi 6 tylko umie czytać i pisać, na 100 rekrutów tylko 48. Pensye nauczycielskie niższe od zapłaty żandarma, woźnego, budnika kolejowego!

Oto mniej więcej pobieżne wyliczenie przyczyn, dla których sprawę polepszenia płac nauczycielskich należy uważać za nagłą, za piekącą w kraju. Tymczasem Wysoki Sejm 70 głosami przeciw 40 nagłość tę odrzucił i tylko dzięki marszałkowi mógł na drugi dzień przecież usłyszeć świat bladą dość i wątłą debatę nad tą sprawą. I o cóż tak strasznego chodziło? Poseł Dr Małachowski, burmistrz Lwowa postawił nagły wniosek, ażeby do budżetu na r. 1899 wstawić sumę pół miliona na polepszenie pensyi nauczycieli ludowych. W końcu wniosek ten Wydziałowi przekazano; kiedy zaś z niego ustawa się wylęgnie, o to nauczyciele konserwatystów zapytać będę musieli.

My z swojej strony mamy jednak jeszcze z panem burmistrzem Drem Małachowskim i z jego kolegą krakowskim słówko do pomówienia w sprawie obrzydliwego wyzysku młodych nauczycieli i nauczyciek w Krakowie i Lwowie... Tutaj np. nauczycielka po ukończeniu seminaryum musi czekać parę lat na to, zanim ją łaskawie powołają na zastępstwo stałych nauczycielek. Bez protekcyi dziewczyna czeka czasem do lat dziesięciu! Po tych torturach zostaje się wreszcie „tymczasową“ młodszą z płacą 480 złr. rocznie, a po 8—10 latach awansuje się dopiero na starszą nauczycielkę z płacą 800 złr. „Młodsza“ i starsza nauczycielka zupełnie jednakową spełniają pracę, a zdarza się, że tę samą robotę załatwiają i praktykanci, którym się daje po 20 złr. miesięcznie (we Lwowie).

Jest to wynikiem zasady „oszczędności“, którą popisują się gorliwi inspektorowie kosztem zdrowia ludzi pracujących w szkole.

Skoro więc już Dr Małachowski tak przyzwoicie przedstawił się jako poseł sejmowy, spodziewamy się, że tę przyzwoitość zachowa także jako burmistrz i usunie wyzysk opisany przez nas. O krakowskim burmistrzu nie śmiemy żadnych wyrażać nadziei; ten człowiek własnego boi się cienia...

Stan wyjątkowy istnieje wciąż jeszcze w ośmiu powiatach Galicyi; wciąż jeszcze ludność ośmiu powiatów pozbawiona praw obywatelskich, oddana na łaskę i niełaskę swoich starostów, przejętych policyjnym duchem Pinińskiego. I istotnie wierzyć się nie chce, że w chwili, kiedy już nawet usłużne organa namiestnikowskie nie potrafią wykrzesać ani jednego „rozruchu“, jeszcze tak znaczna część ludności kraju odcięta od reszty obywateli, otoczona prawdziwie chińskim murem wyjątkowych ustaw, przepisów, zakazów. Napróżno cały lud pracujący w tych ośmiu powiatach czeka dnia, w którymby nareszcie czytanie pism ludowych przestało być zbrodnią, sprowadzającą więzienie, wydalenie, wyrzucenie na bruk, utratę środków do życia. Hr. Piniński tego się właśnie boi najbardziej, — tej chwili, w której cała ludność galicyjska wróci do dawnego stanu, zacznie na nowo czytać niesympatyczne dla rządu pisma, oświecać się, organizować. Jako człowiek wykształcony, profesor uniwersytetu, nazywa on to „rozagitowaniem się ludu“.. I dlategoto, skoro już musiał znieść stan wyjątkowy w głównych centrach znienawidzonego ruchu robotniczego — a musiał z pewnością prędzej, niż chciał i niż sądził, — to przynajmniej stara się go w tych kilku, mniej ruchliwych powiatach zatrzymać o ile możności jak najdłużej. W ten sposób chce hr. Piniński zamaskować to kompletne fiasko, jakiego doznało jego dzieło... A przecież, już z tych pogłosek, które się pojawiają obecnie w prasie codziennej, widać, że długo nie będzie mógł utrzymać resztek stanu wyjątkowego. I wówczas będzie mógł hr. Piniński obliczyć wielkie skutki tego środka „uspokojenia umysłów“, po którym tyle sobie obiecywał, a który nie przyniósł mu nic, prócz niezmazanego wstydu, że on, cywilizowany namiestnik kraju, wchodzącego w skład państwa, które się mieni szumnie „państwem kulturnem“ — chciał przy końcu wieku dziewiętnastego rządzić metodą, którą już w połowie tego wieku Cavoûr bardzo dobitnie określił.

Oświata ludowa.

Jeżeli gdzie, to w naszym kraju jest sprawa oświaty ludowej kwestyą doniosłej wagi. Sfery konserwatywne, w których ręku spoczywają rządy Galicyi, nie troszczą się o oświatę ludową, gdyż sądzą, że oświata jest chłopu niepotrzebną, a nawet szkodliwą; chłop apatyczny, ciemny, bezmyślny jest lepszym filarem „ładu społecznego“, niż chłop, który doszedł do świadomości swego poniżenia i swojej nędzy. Ale właśnie dlatego powinna oświata ludowa być dla partyj nieklerykalnych i niekonserwatywnych przedmiotem starannej uwagi.

Kto pracował wśród chłopów, ten wie, jakie ciemności egipskie panują u nas na wsi. Brak najprymitywniejszych pojęć, już nie mówię politycznych, lecz kulturnych; cały ogrom przesądów, klerykalnych i nieklerykalnych; stopa życiowa tak niska, jak może nigdzie indziej w cywilizowanym świecie, — wszystko to są objawy, które mogą do rozpaczy doprowadzić naszych ideologów obojga płci, sądzących, że wystarczy powiedzieć chłopu: „jak by to pięknie było, gdyby...“, aby ten chłop stał się przerafinowanym Europejczykiem z XIX wieku, zachwycającym się białemi łabędziami, pływającemi w każdym numerze „Życia“.

Faktem bowiem jest, że wszystkie dotychczasowe próby oświecania ludu wiejskiego, — jeżeli były wogóle podejmowane, — grzeszyły ogromną nieznajomością psychologii ludowej. Nasi „krzewiciele oświaty“ popadali w ton taki niepopularny, niezrozumiały, że cała ich robota, podjęta w najlepszych intencyach, była, mówiąc oględnie, rzucaniem grochu o ścianę. Niektórzy sądzili, że wystarczy przybrać tylko akcent mazurski, aby chłopi rzucili się w objęcia oświaty ludowej. A gdy skutek nie dopisał zamiarom, nastąpiło u „młodych działaczy“ zwątpienie i pessymizm. Znane są losy takiej „wyprawy naukowej“ do Bronowic, wioski pod Krakowem. Wyprawę tę przyjęła ludność miejscowa gorzej, niż Nansena Eskimosi. Pierwszym razem patrzono na „odczytowiczów“ jak na jakichś „płanetników“ i przyglądano im się ciekawie. Drugim razem wójt Czepiec ogłosił abstynencyę, — i na odczyt nie przyszła ani żywa dusza.

Kojarzenie wyobrażeń, sposób myślenia są inne u ludności miejskiej, a inne u wiejskiej. Wynika to z odmiennych warunków życiowych. Dla chłopa są wprost niezrozumiałe wszelkie abstrakcyjne pojęcia, których nie może sobie uzmysłowić. Popularyzowanie wiedzy wśród chłopów wymaga więc gruntownego zrozumienia ich psychologii. Nie wystarczy zacinać z mazurska lub wplatać w wykład tu i ówdzie jakieś wyrażenie z gwary ludowej; trzeba starannie przyglądać się wszystkim objawom duszy chłopskiej. Jednym z tych objawów są np. listy chłopskie, pomieszczane tu i ówdzie w pismach ludowych. Co prawda, są one przeważnie zmieniane i naciągane do chwilowych potrzeb; odznacza się w tym kierunku zwłaszcza Stojałowski, który przed każdym swoim koziołkiem politycznym otrzymuje dziwnym trafem szereg listów do i od braci włościan, upoważniających go do zrobienia tego, co właśnie chciał robić. Mimoto wszystko jest w listach tych mnóstwo materyału, pozwalającego zaglądnąć głębiej w duszę chłopską, podchwycić sposób rozumowania chłopa i zużytkować praktycznie.

Nie mamy jednak niestety fachowych popularyzatorów, którzyby mogli działać wśród ludu wiejskiego. Ksiądz i żyd umieją wprawdzie przemówić do chłopa w sposób zrozumiały; ale tych chyba nie można uważać za czynnik cywilizacyjny. Oświatą ludową zajmują się dotychczas jedynie stronnictwa opozycyjne. Pismo socyalistyczne „Prawo ludu“ pomieszczało swego czasu szereg artykułów popularno-naukowych z nauk przyrodniczych. Chłopi czytali je z ogromnem zajęciem i posyłali redakcyi swoje uwagi. Artykuł o teoryi Laplace'a wywołał w jednej wiosce powiatu bialskiego małą rewolucyę. Ksiądz tamtejszy uznał teoryę Laplace'a za okropną herezyę i zagroził chłopom klątwą, jeżeli nie przestaną abonować tego czartowskiego pisma. Zwyciężyła na razie powaga księdza, ale otrzymaliśmy po pewnym czasie skromne zapytanie, czy nie możnaby urządzić w tej sprawie wiecu, — w sprawie teoryi Laplace'a. Inne pisma ludowe bardzo mało zajmują się popularyzowaniem wiedzy. „Przyjaciel ludu“ pomieszcza co najwyżej od czasu do czasu artykulik z historyi polskiej, a „Pszczółka“ już zupełnie o to nie dba. Czasem tylko pozwala sobie Stojałowski na artykuł naukowy, jak np. w ostatnim kalendarzu, w którym pomieścił uczoną rozprawę o Słowianach, mającą udowodnić, że Słowianie pochodzą od — Asyryjczyków. Na dowód przytacza parę nazwisk królów asyryjskich, jak Belizar (biłyj car) etc. Dziecinne te elukubracye znajdą u chłopów zapewne wielki posłuch.

W dzisiejszych warunkach nie jest możliwą oświata ludowa bez oparcia się o partye ludowe, opozycyjne. Stosunki polityczne w naszym kraju zaostrzyły się już do tego stopnia, że ludność wiejska przyjęłaby z niedowierzaniem lub wprost wrogo wszelkie próby, któreby nie miały poparcia ze strony stronnictw opozycyjnych. Oświecanie ludu wiejskiego musi więc mieć podkład społeczno-polityczny, musi być prowadzone ze znajomością psychologii chłopskiej. Odczyty czy broszury muszą być układane popularnie. Popularność zaś i płaska trywialność nie są pojęciami identycznemi. Że u chłopów istnieje pragnienie oświaty, nie ulega wątpliwości. Wytworzył się już cały szereg uczonych chłopów, jak Szmigielski i inni, którzy czytają Lassala, Darwina etc. Piszący te słowa rozmawiał osobiście z jednym z nich, ze Szmigielskim ze Zbaraża, i był wprost zdumiony jego trafnością sądów i rozległą wiedzą, którejby mógł mu pozazdrościć niejeden „inteligent“.

Gdyby ci, którym oświata ludowa rzeczywiście leży na sercu, wzięli się do pracy nad ludem w sposób systematyczny, gdyby oparli się w swej robocie o partye ludowe, osiągnęliby z pewnością więcej rezultatów, niż dotychczas. Przedewszystkiem przyczyniliby się do wyklarowania pojęć społeczno-politycznych naszego włościaństwa, pojęć, które uniemożliwiają często wszelką szczerą robotę polityczną. Zdarzały się przecież wypadki, że chłopi uważali mowcę opozycyjnego za „czarownika, który przyszedł czarować panów, aby lepiej obchodzili się z ludźmi“. Na Pokuciu ma ten adwokat większą klientelę u chłopów, który ma większą pieczęć!

Z jednej strony kler, z drugiej wojsko są dotychczas jedynymi czynnikami „cywilizacyjnymi“ na wsi. Kler uczy chłopa klerykalizmu; wojsko monarchizmu Trzeciego czynnika, któryby zapoznał ludność naszą wiejską z kulturą europejską, dotychczas prawie że niema...

Przed kilku tygodniami zatwierdziło namiestnictwo statuty uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza we Lwowie. O uniwersytetach ludowych pomówimy drugim razem.

Ochrona przed brakiem pracy.

W odezwie, wydanej obecnie przed konferencyą partyjną, komisya zawodowa wymienia jako jedno z pierwszych zadań naszych ozganizacyj zawodowych — ubezpieczeniu na wypadek braku pracy. Jestto istotnie zadanie ogromnie ważne i dlatego warto przypatrzyć się bliżej kwestyi ochrony przed brakiem pracy, która staje się u nas — rzecz ważna — palącą kwestyą dnia. To, co gdzieindziej, w państwach o przemyśle wysoko kapitalistycznie rozwiniętym, jest skutkiem ciągłego dalszego doskonalenia się produkcyi, ciągłych rewolucyj przemysłowych, rozkwitu i upadku, lub chronicznego, długo trwałego (jak zwłaszcza w dzisiejszych czasach) zastoju — to samo wynika u nas z czegoś wręcz przeciwnego, z braku większego przemysłu, z średniowiecznych urządzeń, które pozwalają na „harowanie“ uczni, zacofanego stanu ogólnej konsumcyi, słowem z tego naszego położenia, jako społeczeństwa, pod względem produkcyi i konsumcyi stojącego w tyle poza cywilizacyą zachodu. Skutek — w jednym i drugim wypadku — taki sam: ogromny — bezwzględnie i stosunkowo — zastęp ludzi, pozbawionych zupełnie

za pomocą jakiegoś postępu nie udało się temu hultajowi przypadkiem obejść opiekuńskiego zastrzeżenia, aby prędzej strwonić ojcowską shedę. Nie, pieniądze leżały nietknięte. Skąd jednak w takim razie brał Klimek na pijatyki?

Ten łotr poradził sobie w bardzo prosty sposób: hulał na kredyt! Nie mogąc dostać w swe marnotrawne łapy gotówki, zadłużał się, przepijał spadek a konto chwili, kiedy go odbierze, dając zarabiać sto na sto uczynnym szynkarzom. I to wszystko pod samym niemal nosem opiekuna!...

Zatrzęsło się w Zdzieble wszystko. Wzburzyła się w nim nietylko ambicya człowieka niewzruszonych zasad moralnych na widok rozwiązłości żółtodzióba, ale i godność opiekuna, z którego jawnie drwią i bałwochwalcza cześć nędzarza dla pięknego kapitału, idącego na marne. Wzburzyło się w nim wreszcie i zakotłowało proste, poczciwe, ogólno-ludzkie samolubstwo na myśl, że tam gdzieś w gwarnym lokalu pachną zakąski, kurzą się cygara, leje się piwo i gorzałka w gardła obieżyświatów, a on — on! człek prawy i stateczny, łykać musi ślinkę, dlatego, że jest sumiennym, że ściśle wypełnia swoje obowiązki.

Postanowił skandalowi koniec położyć. Jak — nie wiedział dokładnie, szukał tylko w tym celu spotkania z Klemensem, licząc na to, że samo zetknięcie się z nim w połowie załatwi kwestyę. Aby zaś stanąć przed marnotrawcą w należytym majestacie, pił zlekka, ukradkiem „na kuraż“.

Spotkanie nastąpiło niedługo, w jednej z nielicznych knajp dzielnicy. Opiekun i pupil spojrzeli sobie milcząc w oczy, przez pół dopiero urżnięci, ale już w tym sercowym nastroju, w którym pijak sentymentalny, tracąc grunt pod nogami, zaczyna kochać ludzkość, przebaczać wrogom i ślinić każdego, kto zezwoli na to.

Poczęły się łzawe wyrzuty.

— To ty mnie Klimek mosz za nic?... Mnie?!.. Opiekona sądowego?!... Wolisz lada chłystków do kompanii, niż opiekona?...

Klimek mu odpowiedział w samo ucho, ze względu na podejrzliwie obserwujących tę scenę towarzyszy:

— Jobym wos wołoł, boście szczyrsi... Cóż, skoro mi bronicie tych pieniędzy po tacie...

— Jo?!... bronie?!... Kto ci to powiedzioł?!... — począł się wymawiać Paweł, szukając jakiegobądź argumentu, byle zadowolnić swe serce. — Jo tylko kcę być przy tym, co się śniemi dzioć bedzie, rozumisz?... Bo musze! bo jo jest opiekon sądowy!... Ale żebym ci ta mioł bronić?... Jo ci niczego w świecie nie bronie, chłopie! Ale jo musze być za świadka!... Sąd tak każe!

Ba! w takim razie wszystko z łatwością da się naprawić! Po tem wyjaśnieniu pogodzono się, ucałowano bez obłudy, urżnięto do reszty, odsiedziano następnie dwa dni kozy za przekroczenie ustawy o pijaństwie i postanowiono odtąd pić za gotówkę, nie tracąc bezpotrzebnie świętej krwawicy nieboszczyka na lichwiarskie zdzierstwa. Tak się też stało. Opiekun z pupilem poczęli razem podejmować w banku różne kwoty, aby je następnie razem przepić, tak — że po upływie roku nie było z całej shedy ani grosza. Wówczas Paweł nagle spostrzegł, że ten wisielec popsuł go na starość, wciągając w kałużę nałogu i nabawiając w niedługim czasie takiej bujności czerwonego nosa, jakiego nie widziano w naturze; Klimek zaś, że opiekun, że ten, który powinien był strzedz całości jego dziedzictwa, dopomógł mu je przepuścić. Wynikła z tych obwinien wzajemnych duża niechęć, pociągająca za sobą najpierw zaoczne obelgi, potem osobiste docinki i kłótnie, wreszcie krwawą bitką, która dla opiekuna, strony słabszej, skończyła się w szpitalu, dla zwycięzkiego pupila zaś w kryminale. Narobiło to wszystko dużo, dużo zgorszenia w przedmieściu, ku prawdziwej zgryzocie proboszcza i stojącej nad grobem, starszej, statecznej generacyi.

Zygmunt Niedźwiecki.

zajęcia lub zatrudnianych chwilowo, ludzi, którzy tem samem skazani są na najsroższą nędzę. Nie ma u nas zawodu, któryby w ciągu całego roku nie wykazywał znacznej liczby takich jednostek — nie mówiąc już naturalnie o zawodach t. zw. sezonowych, które z natury rzeczy przez pewien przeciąg miesięcy nie mają roboty.

Skutki tego braku pracy są istotnie straszne: gdyby u nas prowadzono statystykę społeczną choćby tylko tak, jak w innych państwach cywilizowanych, przekonalibyśmy się, że pozbawienie zarobku pociąga za sobą zwiększenie się wypadków zbrodni, zwiększenie się śmiertelności, zmniejszenie się ilości małżeństw i — co zatem idzie — wzrost prostytucyi i chorób, niszczących całe pokolenia. Robotnik, uczciwy, pracowity, stacza się na dno życia społecznego, w szeregi proletaryatu ulicznego, z których wybawia go śmierć — lub więzienie.

Nic więc dziwnego, że zorganizowana klasa robotnicza dawno już przemyśliwała nad tem, jak się ocalić przed zgubnemi następstwami braku pracy. Samego tego zjawiska usunąć niepodobna, dopóki istnieje produkcya kapitalistyczna; ale złagodzić jego wpływ na warstwy robotnicze — oto właśnie cel ubezpieczenia na wypadek braku pracy. Jak wogóle ustawodawstwo ochronne robotnicze, tak i to ubezpieczenie powinno przeprowadzić samo **państwo**; bo pominąwszy już względy społeczne, własny, dobrze zrozumiany interes państwa nakazuje mu zająć się tą sprawą. Głód nie jest przyjacielem tego, co się dziś nazywa ładem i porządkiem, nie uznaje władzy ani ustaw: rozruchy głodowe we Włoszech, rozruchy głodowe w Galicyi — to przestroga, nad którąby rządy nie powinny przejść do porządku dziennego. Mimoto w żadnem państwie europejskiem nie pomyślano o tem na seryo, z wyjątkiem demokratycznej Szwajcacyi, gdzie istnieją oficyalne zakłady ubezpieczeń od braku pracy. Dla przykładu podamy tu szkic przepisów, które zawiera najświeższy projekt ubezpieczenia w Zurychu.

Ubezpieczeni mają być **przymusowo** robotnicy męscy i żeńscy od 16 roku życia, którzy pobierają dziennie nie więcej niż 5 fr. (t j. około 2·50 złr.). Robotnicy dzielą się na 2 grupy, z których jedna obejmuje wszystkich robotników budowlanych, druga resztę ubezpieczonych; pierwsza grupa opłaca do kasy stosownie do płacy 30 do 60 cts. (t. j 15—30 ct.) tygodniowo, druga 10 do 20 ct. Również stosunkowo do płacy pobierają ubezpieczeni — jeżeli są bezżenni — 1·20 fr. do 1·50 fr., inni 1·50 do 2·20 fr. Wkładki mają prawo ściągać przedsiębiorcy od płacy. Prawo pobierania premii mają tylko ci, którzy zostali pozbawieni pracy bez własnej winy; strejkujący wyłączeni są od tego prawa. Ten sam mniej więcej projekt powtarza się w organizacyi ubezpieczenia od braku pracy w Bernie, St. Gallen i innych miastach szwajcarskich.

Wszystkie inne państwa mają dla pozbawionych pracy tylko ustawy o włóczęgostwie i żebractwie, które jako lekarstwo podają — szupas i areszt. W tych państwach robotnicy sami ujęli w swoje ręce sprawę, która im naturalnie najbardziej leży na sercu: w Anglii „trades-uniony“ mają ubezpieczenie przed brakiem pracy i w r. 1891 wypłaciły pokaźną sumę 222.088 f. szt.; w Niemczech związki zawodowe wydają na ten sam cel również dość znaczne sumy. Ten sposób ubezpieczenia, polegający na samopomocy organizacyi robotniczych, na tę wyższość nad innemi, że daje rękojmię bezstronnego oceniania, należnego uwzględniania strejkujących itp.; rzecz naturalna jednak, że pomoc, ofiarowana pozbawionym zajęcia przez stowarzyszenia robotnicze, nie może być zbyt wielką, nie może być nawet tak znaczną, jakby być mogła w zakładach publicznych: Brak większych środków finansowych jest tu przeszkodą, której zwalczyć prawie że niepodobna. Mimoto jednak projekt zaprowadzenia w naszych organizacyach ubezpieczenia przed brakiem pracy jest ze wszech miar godny poparcia; daje on nie tylko robotnikom możność przetrwania najcięższych czasów, ale nadto samym organizacyom lepsze szanse rozwoju, większe pole skutecznej działalności i agitacyi na rzecz idei, której są ucieleśnieniem. A o tem zapomnieć nie powinniśmy, że i bez specyalnego ubezpieczenia na wypadek braku zajęcia, samo wzmożenie się organizacyi, możliwość jej energiczniejszej interwencyi w położenie ekonomiczne robotników wpływa już na brak pracy i jego skutki Rozważanie kwestyi ochrony przed brakiem pracy prowadzi nas w ten sposób znowu — jak w tylu innych wypadkach — do uznania znaczenia silnej organizacyi robotniczej i jej wpływu na wszystkie objawy życia proletaryatu. *L. B.*

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. W zeszłym tygodniu odbył się cały szereg poufnych zebrań zawodowych, na których omawiano sprawy organizacyjne.

Przemyśl. We czwartek 22 grudnia odbyło się poufne zgromadzenie robotników **stolarskich**. O sprawach organizacyjnych mówili tow. Witołd Reger, Józef Schiffler, Jan Żołnierz. Następnie tow. Sadzik, kasyer towarzystwa złożył sprawozdanie kasowe. W końcu na wniosek tow. Hopkiewicza i Pilcha postanowiono obesłać konferencyę krajową.

W poniedziałek 26 grudnia odbyło się poufne zgromadzenie wszystkich robotników, na którem poseł tow. Jan Kozakiewicz wygłosił odczyt na temat: „Rewolucya a ewolucya“.

Przemyśl. W poniedziałek 26 grudnia odbyło się u nas ludowe zgromadzenie pod gołem niebem, w „Centralnym ogrodzie“ z porządkiem dziennym: „Robotnicy, a brak pracy“. Zgromadzeniu przewodniczył tow. Tadeusz **Kolkiewicz**. Pierwszy mowca tow. **Józef Schiffler** wywodzi historyę pracy i zarobków robotnika, który przy największej oszczędności nie jest w stanie nic sobie odłożyć na czas zimowy, w którym kończą się roboty zarówno budowlane jak i ziemne. Zima jest owym etapem, w którym robotnik z powolnej głodowej śmierci, jaką przymierał latem, zbliża się szybkim krokiem do faktycznej śmierci, spowodowanej szeregiem chorób, jakie wywołuje brak należytego pożywienia, odzienia i ubrania. Wina za te stosunki spada w całej rozciągłości na rabunkową gospodarkę klas rządzących.

Następny mowca, poseł tow. **Jan Kozakiewicz**, powitany hucznemi oklaskami wskazuje na opijających się podczas świąt bogobojnych świętoszków, jako na tych, co profanują orgiami pijaństwa i obżarstwa święta, a śmią robić socyalnej demokracyi zarzuty, że ona zgromadzeniami, urządzanemi w święta, zakłóca chrześcijańskie uroczystości. Krytykuje ostro władze, które zbierających się nędzarzy na obrady, rozpędzać każe bagnetami i kolbami. Zachłanność burżuazyjna nie zna drogi prawa ani uczciwości tam, gdzie rozchodzi się o jej interes. Związek przemysłowców wyrobów żelaznych pozamykał dziesiątki fabryk, poniszczył w nich maszyny, dla tego, że wygodniejszem dla niego było scentralizowanie przemysłu żelaznego w Pradze. To samo uczynił kartel właścicieli drukarń perkalu. Czyż taka gospodarka nie jest anarchistyczną? Tysiące rodzin robotniczych straciło z powodu tego chleb, a nikt się nie znalazł, ktoby w imieniu prawa zabronił przemysłowcom w ten sposób postępować. Niechby robotnicy odważyli się łamać maszyny, niszczyć fabryki, to zawezwanoby zaraz całe plutony wojska, prasa burżuazyjna krzyczałaby o „dzikich“ przewrotowcach, a kościoły trząsłyby się od klątw. Dalej mowca wspomina, że ultra-klerykalny minister handlu br. Dipauli i większość parlamentarna, w której zasiada masa księży, odrzuciła wniosek o święceniu niedzieli przez służbę państwową.

Tow. **Szymon Wityk** przemawia po rusku, ostro krytykując działalność sejmu, który gospodarką swoją rujnuje kraj i ludność. Mowca wzywa do walki o prawo wyborcze do sejmu.

Tow. **Witołd Reger** zaznacza, że najlepszym dowodem nędzy i upodlania robotników przez szlachecko-burżuazyjne sfery jest to, że w grudniu, na śniegu i mrozie muszą robotnicy odbywać zgromadzenie, bo wszystkie sale w mieście, zarówno prywatne jak publiczne, stoją otworem tylko dla tinglów i pijatyk, gdzie „starsza“ brać, „moralna“ i „cnotliwa“ zabawia się. Mowca ostro krytykuje dra **Dworskiego**, który nie chciał rębaczom udzielić sali na zgromadzenie, nadto deputacyi słowami obelżywemi odpowiedział na jej żądanie. Przyjęto następujące rozolucye:

1. Robotnicy zgromadzeni w dniu 26 grudnia 1898 r. domagają się usunięcia pracy aresztantów z robót poza obrębem murów więziennych. 2. Zgromadzenie wyraża pogardę drowi **Dworskiemu**, burmistrzowi Przemyśla, za odpowiedź daną deputacyi robotników w sprawie udzielenia sali w magistracie.

Przemyśl. W piątek wieczorem 30 grudnia odbyło się nader liczne zgromadzenie rębaczy. O nędzy i położeniu rębaczy mówił tow. Jan **Żołnierz**. Następnie tow. **Witołd Reger** i **Józef Schiffler** krytykowali ostro konkurencyę aresztantów z robotnikami nietylko dziennymi, ale i zawodowymi, wykazując, że dzisiaj kryminały przemieniły się w formalne fabryki, wyrabiające towary na eksport zewnętrzny, jak wyrób koców, stołków i mebli giętych, koszyków, torb skórzanych i t. p. Dla upominających się o pracę robotników, ma się w Galicyi tylko prawo szupaśnicze, dozór policyjny i więzienie. Zgromadzenie burzliwymi oklaskami uchwaliło wysłać do prezydyum sądu przemyskiego deputacyę, domagającą się usunięcia konkurencyi aresztów.

KRONIKA.

Prześladowania polityczne. W Przemyślu odbyła się dnia 22 grudnia 1898 rozprawa przeciw tow. Ferdynandowi Szczepańskiemu o przekroczenie z § 23 ust. prasowej. Zasądzono zbrodniarza na 5 złr. kary lub 24 godzin aresztu.

IV Zjazd socyalistów polskich w zaborze pruskim odbył się w dniach 24 i 25 grudnia 1898 w Berlinie. Przebieg zjazdu wskazuje, że ruch socyalistyczny w poznańskiem i na Śląsku postąpił znacznie naprzód. Jeżeli się zważy, w jak trudnych warunkach pracują tamtejsi towarzysze, to rezultaty całorocznej pracy, które podali w swych sprawozdaniach towarzysze **Morawski** i **Berfus** przedstawią się nader korzystnie. Myśl socyalistyczna zdobyła już pewny grunt na górnym Ślązku. O agitacyi wyborczej podał tow. Berfus ciekawe daty. Już w maju wydała partya w 30 tysiącach egzemplarzy „Odezwę do ludu polskiego“ Za roznoszenie tej odezwy skazano tow. **Dylonga** na $1\frac{1}{2}$ **lat więzienia!** Broszurę: „Strzeżcie się, socyaliści idą“ rozszerzono w 16,000 egzemplarzy. „Gazetę robotniczą“ drukowano w czasie wyborów o 5000 egz. więcej, niż zwyczajnie. Na Poznańskie i Górny Ślązk wysłano 115,000 pism ulotnych, 74,000 kartek wyborczych i 5000 gazet. Koszta wydawnictw wynosiły 904.50 marek, koszta agitacyi 828.50 marek. Ogółem wydano na agitacyę wyborczą 1733 marek. Ogólna suma pism ulotnych wynosi 248.000. Nadto zamówili towarzysze niemieccy polskich odezw 130,000 egz. celem rozszerzenia ich po Westfalii, Brandenburgii, Hamburgu, Magdeburgu itd. Delegatów na zjazd przybyło 25.

Dyscyplinarka przeciw hr. Starzeńskiemu. Dowiadujemy się, że p. starosta Starzeński prosi się o wytoczenie mu śledztwa dyscyplinarnego, z powodu artykułu tow. posła Daszyńskiego w „Arbeiterzeitung“.

Więc p. Starzeński sam uznaje już ciężar tych zarzutów, a p. hr. Piniński nie raczył dotąd tego uczynić.

P. hrabia Starzeński wybrał „mniejsze zło“ dla siebie i umknął przed przysięgłymi. Nie na wiele mu się przyda, bo tow. Daszyński sprawie nie da zasnąć i przytoczy jeszcze **dalsze fakty**, które będą miały związek nietylko z osobą hr. Starzeńskiego, ale i z innymi.

Tow. Daszyński **nie chce skandalu**, ale skoroby p. hr. Piniński nie zrozumiał się sam na znaczeniu tej sprawy, wówczas opinia publiczna zostanie o niej poinformowaną z całą dokładnością.

Tajność bowiem urzędowej dyscyplinarki w tem stadyum już nie wystarcza.

O rozruchach ulicznych we Lwowie doniosła „senzacyjne“ szczegóły prasa lwowska. Strażnicy sądowi odprowadzili „zbiega z Litwy“ Siemaszkę z aresztów sądowych do policyi. Wówczas zastąpił im drogę tłum socyalistów, z zamiarem odbicia „zbiega“. Strażnicy dobyli szabel, ponieważ socyalista Mokłowski z nożem w ręku rzucił się na nich...

W tym stylu odbił się w naszej prasie wypadek, któremu warto poświęcić słów parę. Ów zbieg Siemaszko jest socyalistą, aresztowanym przed 2. miesiącami za §. 24 ustawy prasowej. Po odsiedzeniu kary sądowej zamierzała go policya lwowska wydalić z granic Austryi. Rozeszła się pogłoska, że władze policyjne chcą go odstawić do granicy **rosyjskiej**, co dla Siemaszki byłoby rzeczą straszną wobec tego że jest w Rosyi politycznie zkompromitowanym. Pogłoska ta wywołała wzburzenie wśród robotników i spowodowala zajście, o którem szeroko rozpisała się nasza prasa.

Nie pochwalamy tego zajścia. Przyznajemy jednak, że więcej mamy szacunku przed tym, może zbyt gwałtownym żywiołowym objawem poczucia sprawiedliwości u robotników, niż przed naszymi pismakami, którzy oprócz łgarstw i przekręceń nie mają nic do powiedzenia swoim czytelnikom w tej sprawie. A to pogardliwe nazywanie Siemaszki „zbiegem rosyjskim“ jest bardzo charakterystycznem dla **polskiej** prasy... Albo te doniesienia o nożu, którym tow. **Mokłowski** chciał przebić woźnych! Tow. Mokłowski sprostował oczywiście w „Słowie polskiem“ tę głupią kaczkę. O tem zaś, że tow. **Siemaszko** będzie wydalony z granic Austryi nie znalazło żadne pismo ani słowa protestu!

Spoliczkowany gadzinowiec. W pismach lwowskich pojawiła się przed paru dniami następująca lakoniczna notatka:

„Za niecne, podłe oszczerstwo, rzucone na robotników polskich zaboru rosyjskiego w „Przeglądzie“ lwowskim z dnia 27 bm. został redaktor tegoż „Przeglądu“ p. Ludwik **Masłowski** w obecności mojej, jako świadka, dnia 28 grudnia w redakcyi o godz. 6 **spoliczkowany**. Lwów 29 grudnia 1898. **Maryan Dąbrowiecki** słuchacz praw“.

Przedewszystkiem reminiscencye historyczne. Panu Ludwikowi Masłowskiemu nie jest wcale nowiną przyjmować policzki. W r. 1889 wypoliczkowało go kilkunastu akademików za artytuł o powstaniu styczniowem. Język polski wzbogacił się wówczas nowym wyrazem: „masłowanie“. W r. 1896 wypoliczkował go p. Wojciech **Dąbrowski**, jego własny współpracownik, za artykuł przeciw ruchowi ludowemu. Obecny policzek jest z rzędu trzecim, a historya jego przedstawia się następująco:

Z powodu uroczystości mickiewiczowskiej w Warszawie umieścił Masłowski, lwowski Ehrenberg, artykuł, wymierzony przeciw partyi robotniczej w zaborze rosyjskim, nazywający członków partyi szpiegami, policyantami, szpiclami itd. Artykuł ten oburzył do żywego lwowską młodzież postępową. Dnia 28 grudnia udało się dwóch akademików do redakcyi „Przeglądu“ i zażądało od Masłowskiego wyjaśnienia. Masłowski zaręczył, że nie jest autorem owego artykułu i zgodził się na umieszczenie odwołania. Obaj akademicy wystylizowali owo odwołanie, które Masłowski wyrwał im z rąk i zmiąwszy, rzucił o ziemię. W tej chwili jeden z akademików **wymierzył mu rzęsisty policzek**, mówiąc: „**Nie masz słowa honoru! Robisz karyerę pyskobraniem jak Apuchtin!**“ Masłowski skowyczącym tonem począł krzyczeć „bij, zabij!“ i dwóch pachołków rzuciło się na akademików i wyparło ich z lokalu.

W ten sposób spotkała zasłużona kara gadzinowca. Pociesznem jest, jak Masłowski pokwitował w numerze otrzymany policzek. Oto w „Przeglądzie“ z dnia 1. stycznia pomieścił artykuł pod senzacyjnym tytułem: Napad rewolucyonistów na redakcyę „Przeglądu“. Artykuł kończy się następującą uwagą:

„Stało się to wszystko, jak powiedzieliśmy powyżej, przedonegdaj, we środę, jednakże nie poruszaliśmy tej sprawy w naszem piśmie, ponieważ nigdy w „Przeglądzie“ nie opowiadamy żadnych faktów, dotyczących redakcyi i jej członków z tego względu, że uważamy to za pewne **samochwalstwo opowiadanie czytelnikom o sobie...**“

Pan Masłowski sądzi widocznie, że młodzież, policzkując go, urządziła mu wielką owacyę...

Kto był sprawcą rozruchów antysemickich? Procesy i procesy bez końca, setki lat więzienia, — oto skutki zbrodniczej roboty tych, którzy podszczuli biednych chłopów, a sami cieszą się zupełną bezkarnością. „Kuryer Lwowski“ podaje w sprawozdaniu z rozprawy o rozruchy, odbytej w N. Sączu dnia 30 i 31 grudnia 1898 następujący charakterystyczny szczegół:

„Na zapytanie przewodniczącego Pisałka, co właściwie spowodowało ich do wzięcia udziału w rozruchach, odpowiedział jeden z oskarżonych: skoro rząd nie wzbrania „Głosowi Narodu“ i „Związkowi chłopskiemu“ tak pisać na żydów, sądziliśmy, że wszystko, co te gazety piszą jest prawdą, i że jest także wolno żydów rabować i niszczyć, a ponieważ przekonaliśmy się, że te gazety nieprawdę piszą, już nigdy tym antysemickim gazetom posłuchu nie damy, bo przez nie niewinnie cierpieć musimy.“

Grzmot, organ Jezuitów, przestał wychodzić z dniem 1 stycznia 1899.

Skutki wielkomocarstwowych zachcianek Austryi, to jedna z pięknych kart naszej polityki skarbowej. Po bankructwie z r. 1811 płacił rząd za własne floreny po 20 ct., a gdy powtórnie zbankrutowała Austrya w r. 1820, za owe 20 ct., płacono 40% czyli 8 centów za dawne 100. A kiedy już zbankrutować nie można było, bo nikt nie kredytował, a śruba podatkowa niczego więcej z obywateli wycisnąć nie mogła, zastawił rząd w r. 1848 swoje kopalnie soli w banku nacyonalnym za 30 milionów guldenów, które później wzrosły do **100** milionów i ten dług do dziś dnia gnębi szczęśliwych obywateli krajów reprezentowanych w radzie państwa. W r. 1867 zmniejszono ten dług do 70 milionów, a w tych dniach zapłacono dalsze 20 milionów, nie zapomocą nowego kredytu, ani nie z nowych podatków, ale z **oszczędności** państwowych, — tak jakby te pieniądze były z czyjejś innej, jak z kieszeni ludności, a oszczędzanie publicznego grosza wyegzekwowanego nieraz bez litości było szczególną jakąś cnotą.

Karol Brzozowski, poeta i rewolucyonista, święci w styczniu 1899 swoją sześćdziesięcioletnią rocznicę działalności pisarskiej i obywatelskiej. Wielkie czasy wydają wielkich ludzi. Brzozowski jest jednym z tych niewielu, pozostałych przy życiu, którzy w r. 48 walczyli bronią i piórem za wolność

swego narodu i wszystkich ludów. Wypadki tego roku wiosny zastały go w Poznańskiem, gdzie ludność zbroiła się gorączkowo, spodziewając się walki z Rosyą. Przyszło jednak do walki z Prusakami i Brzozowski pod Mierosławskim odbył krwawy chrzest pod Trzemesznem, Miłosławiem, Wrześnią. Wobec 30-tysięcznej armii pruskiej była jednak walka wprost niemożliwą i powstanie upadło. Brzozowski ruszył więc na długą tułaczkę; Drezno, Paryż, Stambuł, lasy anatolskie i bałkańskie, brzegi Eufratu i góry kurdystańskie — to były etapy jego wędrówek. Następnie pod Miłkowskim (Jeżem) zaciągnął się do oddziału powstańczego, który przez terytoryum rumuńskie zamierzał przedrzeć się na Ruś. Pod Kostangalią przyszło do walki, w której Brzozowski otrzymał ranę w pierś i dopiero po kilku miesiącach odzyskał zdrowie. Po długiej tułaczce wrócił starcem do kraju i przebywa obecnie we Lwowie.

Brzozowski jest jednym z tych, którzy pełnemi garściami poświęcili serce i umysł dla ludzkości. Jest to dziwne zjawisko: dawniej miało społeczeństwo polskie całe legiony ludzi, którzy całą Europę prowadzili do walki o wolność, których i w ruchu umysłowym zajęli zaszczytne miejsce. Obecnie zaś nie mamy, szczególnie w Galicyi, ani na lekarstwo l u d z i... Wielkie czasy wywołują wielkich ludzi.

Na wdzięczność robotników zasłużył sobie Brzozowski pięknym wierszem p. t. „Rewolucyonista“, deklamowanym bardzo często na uroczystościach robotniczych.

Dyrektor gimnazyum przemyskiego, Piątkiewicz zachowuje się w tak nieodpowiedni sposób, że wywołał w całem mieście ogólne oburzenie. Ojcowie całego szeregu uczniów, uczęszczających do gimnazyum Piątkiewicza, upraszają nas o ogłoszenie rozlicznych nadużyć tego Apuchtina przemyskiego. Piątkiewicz tworzy wśród młodzieży s z p i c l ó w i d e n u n c y a n t ó w i w ten sposób demoralizuje młodzież, zamiast wszczepiać w nią szlachetne ideały. Doszło do tego, że uczniowie nie są pewni, czy p. dyrektor nie zaprowadzi w gimnazyum ekspozytury policyi. Przed miesiącem o d e b r a ł s o b i e ż y c i e uczeń V. klasy Ż u p n i k, wydalony przez Piątkiewicza zato, że „był zanadto rozwiniętym umysłowo i wzrostem za wysoki“. Chłopak z rozpaczy, z powodu odebranej możności kształcenia się, mimo, że kursa kończył zawsze z d o b r y m postępem, popełnił samobójstwo. — Przed kilkoma dniami wydalił Piątkiewicz jednego ucznia zato, że mieszkał na stancyi u r o b o t n i k a k o l e j o w e g o G ó r z y ń s k i e g o, a nie u pewnej kobiety, do której kazał mu się przeprowadzić p. dyrektor w połowie miesiąca, mimo, że chłopak nie miał na to pieniędzy. W gimnazyum staje Piątkiewicz okrakiem u wchodu i każe studentom przechodzić między nogi, co chyba moralnie na młodzież wpływać nie może. Jeżeli który jest chorym, a nie należy do pupilów p. dyrektora, wówczas każe mu przynosić świadectwo od lekarza z wyszczególnieniem choroby i podaniem jej przyczyn. Raz nawet zdarzył się wypadek, że u siebie w kancelaryi kazał stróżowi szkolnemu rozebrać do naga ucznia i żądał od stróża opinii, czy uczeń nie jest chorym na syfilis, — bo tak mu doniósł jego szpicel protegowany. Piątkiewicz jest takim gburem, że nie zdarzyło się jeszcze, by się uczniowi odkłonił. Natomiast ze szpiclami policyjnymi jak z Parysem, Kurantem żyje bardzo zażyle i podaje im rękę, — co chyba nie przystoi dyrektorowi.

Jednem słowem Piątkiewicz nie jest stosowny na stanowisko, wymagające taktu, ugrzecznienia i wykształcenia pedagogicznego. Policyjnemi sztuczkami i brutalnem obchodzeniem się nie zdobywa się zaufania młodzieży; gdzie zaś nie ma zaufania, tam wszelka praca pedagogiczna niemożliwa. Piątkiewicz jest figurą ogólnie znienawidzoną wśród młodzieży. Ojcowie całego szeregu uczniów postanowili zwrócić uwagę opinii publicznej na te skandaliczne stosunki szkolne w Przemyślu w drodze parlamentarnej.

„Stowarzyszenie postępowej izraelickiej młodzieży handlowej“... Tak jest, tak się nazywa to stowarzyszenie, które d w a r a z y odmówiło sali robotnikom na partyjną konferencyę krajową. Młodzież, p o s t ę p o w a młodzież, p r a c u j ą c a młodzież (bo pomocnicy handlowi — choćby jak elegancko ubrani — przecież nie są burżuazyą) odmawia robotnikom sali — z obawy przed utratą... subwencyi z izby handlowo-przemysłowej! Powiedzmy krótko, żeby dużo słów nie tracić, — że to wprost obrzydliwe... Jeszcze obrzydliwsze jest to, że każdy z tych panów w prywatnej rozmowie zapewniał, że wydział stowarzyszenia udzieli sali; dopiero na posiedzeniu zażądali t a j n e g o głosowania i większość okazała się przeciwną. Taką jest odwaga tej izraelickiej młodzieży „postępowej“... I po cóż to u licha bawić się w wywieszanie szyldu postępowości, kiedy się jest w istocie zwykłym karyerowiczem, drżącym przed każdym objawem niełaski możnych panów przemysłowców?! Możemy też zapewnić tych szczególnych „postępowców“, że zachowanie się ich c. k. władze przyjmą z zadowoleniem do wiadomości.

Chór robotniczy zawiązał się ostatnimi czasy w naszych organizacyach zawodowych. Po całodziennej pracy w warsztatach dla znużonego męką proletaryusza pieśń, pieśń robotnicza, pełna męskiej siły i energii — to jak ożywczy strumień wody, jak prąd świeżego powietrza. Zapał podnosi serca i umysły, krew żywiej płynie w żyłach, oko roziskrza się, — odradza się cała istota. I wszystko to pod czarodziejskiem działaniem robotniczych melodyj, które płyną z dzielnych piersi robotniczych. A jaka to przytem rozkosz pod wpływem wesołych tonów zapomnieć o kłopotach i trudach codziennych, oderwać się choć na chwilę od ziemskiego brudu i pyłu... Takim to dobroczynnym czynnikiem jest ten chór, które wkrótce stanie się prawdziwą okrasą wszystkich towarzyskich zebrań i zabaw robotniczych. Toteż nasi towarzysze nie powinni zapomnieć o tem najmłodszem dziecięciu swoich organizacyi: bo i piękne ono jest i najlepsze na przyszłość rokuje nadzieje...

26.000 złr. rocznie wydaje Galicya na szupaśnictwo. Gdyby tych 26.000 złr. zamiast poświęcać na bezcelową administracyę, użyto na oprocentowanie i spłatę większego kredytu i urządzono za pomocą tego kapitału publiczne domy pracy, lub przynajmniej biura pośredniczące w wyszukiwaniu pracy, zapobieżono by chyba skuteczniej tak samej nędzy, jak i mnożeniu się ciężarów gminnych. Ale cóżby się wtedy stało z osławionym austryackim biurokratyzmem?

„Popierajmy rolnictwo,“ — „polityka agrarna zajmuje naszą szczególną uwagę“, oto frazesy, któremi broni się rząd austryacki, ilekroć kto od niego zażąda energiczniejszego popierania przemysłu, jako jedynego pola zarobku dla tysięcy bezdomnych i bezrolnych ludzi, których jedynem kapitałem jest praca rąk, dla których tak często brak im zatrudnienia. Tymczasem i wilk nie syty i owca nie cała. Roczna statystyka wykazuje, że produkcya rolna w Austryi choć nieco się zwiększyła, nie wystarcza przecież i tak na potrzeby państwa. Jeszcze w r. 1897 wywieziono z Austryi za granicę zboża za 27 milionów złr. W ostatnim roku 1898. sprowadzonego natomiast za 30 milionów z zagranicy. Czyli niedobór produkcyi rolnej w Austryi wynosi w stosunku do r. 1897 około 57 milionów!

Wiadomości literackie i artystyczne.

= **Jan Sten.** P o e z y e. Lwów, księg. Polska. 1898. Sten jest dawnym naszym znajomym — i to jednym z tych miłych a ciekawych, których głosu zawsze chętnie słuchamy, wiedząc i czując, że mają coś do powiedzenia i że bez względu na mniej lub więcej przyjemną nam treść ich wypowiedzeń, treść ta ich łączy się ściśle z ich osobowością, ma własne życie i własny ruch. Gdybyśmy tylko to jedno podkreślili mówiąc o ślicznie i oryginalnie wydanym tomiku poezyj Stena, to i tak, w czasach, kiedy wszyscy wszystkich naśladują, a każdy z osobna stawia kandydaturę na Boga, t. j. z niczego tworzyć chce tak zwany „swój świat“ „świat jedyny“ i „najlepszy z światów“ — to i tak, powtarzamy, poezjom Stena — oddalibyśmy hołd niemały. Nie objęlibyśmy wszakże tą uwagą wszystkich cech Stena, jako poety.

Warszawa — Młode lata — Krajobrazy... Kawał ziemi, który streszcza całą naszą stuletnią niedolę, chwile młodych upojeń i walk w zaciszach duszy staczanych, wreszcie wiecznie nowe cuda przyrody — oto dobre siły, które wyglądając na czas z kartek zbiorku, przykuwają nas do siebie to głębokiem, to smutnem, to znów niezmiernie rzewnem spojrzeniem.

Warszawa powstaje przed nami zdobna we wszystkie swoje uśmiechy, tem tragiczniejsze, że padają na stoki cytadeli, na cienie Powińskiego, na cerkiew prawosławną, na Powązki — na mękę, na krew przelaną, na śmierć i na myśl polską, żywą a jęczącą w jarzmie i bezcześci. Jest w tym szeregu obrazów, przesuwających się przed naszemi oczami, niby smutne białe widma wśród nocy, coś, co działa na wyobraźnię, jak rysunki Grottgera — powagą, żałobą i niezmierną dla ziemi polskiej miłością. Warszawa powoli ustępuje, a wyłania się z morza łez „Polonia“, spętana wśród cmentarzy. To wzruszające wrażenie osiąga Sten bardzo prostą formą. Może tylko dzięki niej w tym stopniu je osiąga. Na stokach cytadeli np. powiada:

Dokoła
obejrzeliśmy się, i widząc, że sami
jesteśmy tu z bratem i że nikt za nami
nie woła,
w milczeniu
zdjęliśmy czapki z głów. Nie mają
pomnika,
więc tylko chwasty i szańców zieleń dzika
w swym cieniu
mogiły
męczenników kryją...

I dalej:

Z kazamatów fortecznych wstał cień głęboki
i z dołów
ku górze
pełzał. Ale mnie się przez chwilę zdawało,
Że koło grobu blasków trochę zostało
w purpurze,
by strzegły
tych prochów i nas. Lecz to było złudzenie.
Nie słońca blask, ale odbite promienie od cegły.
I wtedy
byłbym chyba płakać mógł...

To jest forma sztywna, surowa, zimna niemal. Tak mówi ból, który niema już łez — bo je wypłakał i tak pisze poeta, który czuje, że wobec stoków cytadeli Polska wszystkie łzy swoje już wypłakała.

Wśród rozmyślań i liryk Stena w cyklu „Młode lata“ uderza nas nuta niezadowolenia i tęsknoty za pełnem, bogatem życiem. Tę wspólną cechę mają liryki Stena z lirycznemi utworami naszych czasów — ale jest w nich jeszcze coś więcej. Sten odczuwa zarazem ogólne przyczyny niezadowolenia i dlatego umie między sobą a tymi, przed którymi się żali, nawiązać silną nić jedności duchowej i porozumienia. To wrażenie dają nam strofy, jak: „Kiedyśmy się rodzili“, „Na naszem niebie chmury“, „Czem żyć, co kochać“. „Tak smutno nam“ i wiele innych. Nie są to strofki, wiązane dla dźwięcznego rymu: wypływają z życia, z tych konieczności, które ono narzuca, stąd. że, jak powiada Sten: „kiedyśmy się rodzili... spowito nas w całuny“...

Nad artystycznemi wierszami zbiorku i „krajobrazami“ na razie zatrzymywań się nie będziemy, bo jest ich w zbiorku mało i spodziewamy się, że je Sten wkrótce uzupełni. Zdaje nam się, że zebrano je bez szczególnej staranności i że na staranniejszym wyborze tomik byłby bezwarunkowo zyskał. „Sen“ i „Morze“ nie znoszą sąsiedztwa „Zachodu“ i „Nocy“ i trudno nam tu pogodzić czarującą formę „Wizyi szczęścia“ z Nr. XVII i XVI zbiorku.

= **„Ciegów“**, dwutygodnika satyryczno-humorystycznego numer 1 wyszedł już z druku. Całość przedstawia się bardzo udatnie; jedynie strona illustracyjna pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Protokół stenograficzny posiedzeń wysokiego Sejmu tryska dowcipem i humorem. „Tragiczna historya o wszechtrawie“ jest nietylko tragiczną historyą, lecz i przepyszną satyrą na naszych dekadentów, na których fioletowej duszy rośnie sporo jeszcze — zielonej trawy. Wiadomość o profesorze T h u l l i e m, jako że buduje obecnie most żelazny do nieba, będzie wielce pocieszającą dla naszych ubogich na duchu owieczek chrześciańsko-socyalnych. — Dobremi są wiersze Sęczka. Co do innych wierszy, to pozwolimy sobie zauważyć, że treść ich jest o wiele lepszą, niż forma. Gdyby autorowie ich podali ten zasób dowcipu i humoru, którym niewątpliwie rozporządzają, w formie niewiązanej, osiągnęliby zdaniem naszem o wiele większe efekty.

Ogółem jednak przedstawiają się „Cięgi“ korzystnie. A ponieważ „dobry żart tynfa wart“, — zwłaszcza w ciężkich czasach — polecamy naszym czytelnikom „Cięgi“ jak najgoręcej. Adres redakcyi: Lwów, Kornel Żelaszkiewicz, Pasaż Hausmana 8. Prenumerata kwartalna wynosi 50 ct.

Rachunki partyjne.

Fundusz prasowy. Pożyczka 361·64, młody 2·50, Łódeczka —·20, włościanin z Mogiły —·50, Dąbrowski —·15. Reszta —·09, za jabłka —·05, Kupfer —·50, i p. dom —·10, j. e. —·10, za Wojtka —·10, F. S. —·10, G. —·05, zwrot z bloku Kur. —·20, I. P. —·10, Stan wyjątk. —·05, by stłumić soc. — 05, zgorszony —·05, K. właz —·05, St. —·06, J. E. —.10, kolejarz Drabinka N. Sącz —·50, Grzmotowiec N. Sącz —·80, z puszki redakc. 1·17. Pożyczka Z. D. R. 50·—, Franciszek —·10, H. K. —·13, J. E. —·10, I. P. —·10, L. S. —·10, G. —·05, Tatar —·16, Warszawiak —·08, gimnazyalista —·10, B. 1·—, Za spinki —·30, nie rogaty —·20, pożyczono 2·—, Rybka 3·48, I. E. —·10, pomarańcza —·10, S. —·10, Razem 615 złr. 60 ct.

Fundusz agitacyjny. Z. —·50, złożono na zgrom. 22·03, za zaproszenia —·40, Tatar —0·1, Harland —·10, razem 23 złr. 13 ct.

Fundusz dla prześladowanych. Schl. —·05, J. F. —·06, Tow. Murarze dla K. Bieniarza 7·62, Na zgrom. syonistów na tałeśników —·10 1/2, u Splitera na tałeś. 3·11, Syonista dla tałeś. —·10, Bross —·10, od Młodzieży dla tałeś. 1·—, byle prędzej —·14, Handlowcy —·50, Z. P. na tałeś. —·50, z puszki —·68, Liberman na tałeś. —·12. Razem 15 złr. 30 1/2 ct. Lista zamknięta dnia 31 grudnia 1898. *Józef Kleinberger.*

Na strejk tałeśników w Kołomyi złożyli: Część dochodu z wieczorku Mickiewiczowskiego w Wiedniu 6·—, Dr. Szandor —50, Löwenherz Elsa 1·—. Razem 57 złr.

Brettler, imieniem komitetu kołomyjskiego.

KOMUNIKATY.

Kraków.

Lekcye chóru odbywają się w lokalu stow. Siły (Sławkowska 30.) regularnie w każdy poniedziałek, środę i piątek.

Lwów.

Zgromadzenie ludowe z porządkiem dziennym: „Precz ze stemplem dziennikarskim i zakazem kolportaży!“ odbędzie się w Domu robotniczym w p o n i e d z i a ł e k 9 stycznia o 7 godz. wieczorem.

Wykłady popularne z przedstawieniem obrazów świetlnych odbędą się w Domu robotniczym w niedzielę d. 8 stycznia popołudniu od 4—5 p. t. „Komety i gwiazdy spadające“ i od 5—6 „Jak utworzyła się skorupa ziemska?“

Stryj.

Zgromadzenie ludowe z porządkiem dziennym: „Precz ze stemplem dziennikarskim i zakazem kolportaży!“ odbędzie się tu w niedzielę dnia 8 stycznia.

Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołączamy jako dodatek numer okazowy „Cięgów“, pisma humorystycznego, wychodzącego we Lwowie. Pojedyncze numera nabywać można w red. „Naprzodu“ i w biurach dzienników.

Pamiętajcie o funduszu prasowym.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Jan Serkowski.** Z Drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.